

Fragment opowiadania „Kostas Pavlides” z książki „Spotkania” Justyny Reczeniedi

Miałem sen.

Śniłem o sobie i o Wilku, którego spotkałem i który mnie spotkał również; to było w Krakowie. Wilk nazywał się Kostas Pavlides i – co jest rzeczą zdumiewającą – po paru godzinach był już trochę oswojony.

Piszę, bo... myślę, że tak trzeba. Może uda mi się ocalić trochę prawdy, aby nie zbanalizować tego, co uznawałem za święte.

Jest 27 grudnia 2007 roku. Sen się skończył, ale nie przemija. Jeszcze nie. Tylko jego twarz coraz trudniej sobie przypomnieć...

W południe skierowałem kroki do księgarni. Podeszedłem do stoiska zoologicznego, wziąłem do ręki książkę pod tytułem Ssaki, znalazłem hasło Rodzina psowatych – wtedy Canis lupus stanął mi przed oczyma. I nagle coś sobie przypomniałem; wprawdzie niewiele, ale nasunął mi się ten obraz, który bardzo chcę zatrzymać w pamięci, a który tak szybko się zaciera...

To dla mnie komplement, że zważyła go właśnie muzyka, mój saksofon, dla którego musiałem się tak drastycznie przelamywać. Padało, i to nieźle, mimo to grąłem, czując się jak właściwy człowiek na właściwym miejscu. Pamiętam jak patrzyłem na deszcz, a w wyobraźni widziałem głębię dźwięku i frazy, chcąc pojąć sedno utworu. Przyglądałem się sobie z perspektywy i myślałem: „Oto stoję pod Sukiennicami na krakowskim rynku, robię ładną rzecz, a ktoś tego słucha. Podoba mi się”.

Dokonana się najprawdziwsza synteza, coś co powinno być zawsze celem podobnego przedsięwzięcia: robiłem rzecz, którą w danej chwili robić należało i wykonywałem ją tak jak trzeba.

Kiedy się gra na ulicy i daje się z siebie wszystko (a ludzie przecież reagują), dobrze się wyczuwa, kto jest kim i co ma w swoim wnętrzu. Wiedziałem zatem, że przemknął się ktoś niezwykle. Postanowiłem (dlaczego?) na nikogo nie patrzeć, a już na pewno nie w kierunku tej postaci. A jednak... w końcu otworzyłem oczy, i oczywiście napotkałem jego spojrzenie.

Przyszła mi teraz do głowy myśl: Jak to możliwe, aby z odległości około dwudziestu kroków mógł dojrzeć pewien szczegół – znamię na mojej lewej dłoni? To była pierwsza rzecz, o której mi powiedział. Potem mówił, że właśnie z powodu dłoni mnie zatrzymał i jestem skłonny w to uwierzyć. Nie miałoby to może większego znaczenia, gdyby nie fakt, że Kostas Pavlides ma prawie takie samo znamię na prawej dłoni, jak ja na lewej.

Tamtego piątku, dokładnie o godzinie osiemnastej, zadzierałem do góry głowę, upajając się wolnością (inspiracją był stałe padający deszcz) i czując ową niezwykłość chwili, jak to zwykle po graniu. Nagle spostrzegłem tamtego człowieka. Stał po drugiej stronie barierki, czyli w restauracji Pod Sukiennicami. Nie zdążyłem jednak nic sobie pomyśleć, bo oto wyrósł tuż przy mnie.

Tego właściwie nie przewidziałem, choć nie było w tym przecież nic nadzwyczajnego. O niczym specjalnie nie myślałem wtedy; zależało mi głównie na tym, żeby zaszyć się w jakimś miłym miejscu.

Jedno dało się wyczuć od razu: że to jest ekstrafacet.

Kwestia jego urody nasuwa pewne komplikacje. Jak się okazało, Kostas Pavlides był człowiekiem niejednoznacznie pięknym; jego osobliwej twarzy, słusznej postury, rąk, ognistych oczu nie można było nie zauważyć. Ja jednak z początku tego nie dostrzegałem. Kiedy jeszcze tego samego wieczoru przyjrzałem mu się dokładnie uznałem że jest niepospolicie interesujący, myślałem przy tym jednak, że to tylko moje zdanie i że – obiektywnie rzecz biorąc – sprawa ma się jakoś inaczej.

W nocy prawie nie spałem, co obłudnie tłumaczyłem sobie brakiem szybkiego przystosowania do nowego miejsca. Między godziną piątą a siódmą rano udało mi się zasnąć i co mi się wtedy przyśniło? Coś nieprawdopodobnie tkliwego, zupełnie nieprzystającego do zaistniałej sytuacji, ani do atmosfery, jaka się wytworzyła w sobotni wieczór. Nazajutrz powiedział mi, że także nie mógł spać.

Z sobotniego spotkania pamiętam dobrze parę momentów oraz to, że każdy z nich była interesujący. Kostas jawił mi się w tej swojej delikatnej skórzanej kurtce jako ktoś podobny do Raskolnikowa ze Zbrodni i kary Dostojewskiego. Zapytałem od razu:

– What do you want?

Odpowiedział szybko, nadając zresztą swoim słowom charakter oczywisty.

– Nothing. Just to talk.

Ruszyliśmy do kawiarni. Miał płynne, opanowane ruchy... Nagle zwrócił uwagę na mój uśmiech oczami, pytając:

– Czy to tak zawsze?

Przez sekundę się zastanawiałem, po czym odparłem:

– Chyba nie...

A on roześmiał się i powiedział szczerze:

– I can't believe that.

Dziwne było tej nocy jego podejście do mnie. Myślałem, że może mnie nie lubi, innym razem, że lubi...; początkowo wydał mi się trochę cyniczny. Niczego jeszcze nie rozumiałem. Musiałem się jednak błyskawicznie do niego przywiązać. Kiedy oznajmił, że jutro „może wyjeżdża”, ponieważ czeka na niego ojciec, gorączkowo zacząłem szukać na głos innych rozwiązań, by Kostas mógł jeszcze zostać w Krakowie.

– Co ja mówię? – opamiętałem się wreszcie.

Prawdopodobieństwo, że uda mu się kupić bilet i że już więcej go nie zobaczę było duże. Wtedy jeszcze łatwo było powiedzieć sobie t r u d n o – zresztą to pierwsze polskie słowo, jakiego się Kostas nauczył, i pierwsze, jakie przy mnie wypowiedział.

Nie zdarzyło mi się wcześniej rozmawiać z człowiekiem, który nie zadawał pytań i w którym nie było nic schematycznego. Na początku naszej znajomości Kostas Pavlides uśmiechał się niewiele.

(...)